



STEFAN
DARDA
DOM NA WYRĘBACH

Nie jeden z nas marzy o wyprowadzce do własnego domu na wsi. Niektórzy realizują swoje plany. Zrealizował je także bohater powieści *Dom na wyrębach*.

Chata z bali, ogień pod kuchenną płytą, cisza za oknami. Idylla? Prawie.

Nieznana siła przestawia rzeczy w zamkniętym domu. Mieszkający obok sąsiad okazuje się człowiekiem „któremu nie udowodniono”.

Wokół naiwnego mieszczucha zaczyna się zaciskać pętla...

Wartka, trzymająca w napięciu akcja i lekkie pióro Autora sprawiają, że książkę trudno odłożyć przed poznaniem jej zakończenia.

Andrzej Plipluk

Próbny fragment
książki w formacie epub



MBP Cieszanów
Dom na wyrębach /



0000026241

STEFAN
DARDA

DOM NA WYRĘBACH



DAR

POWIEŚĆ UTRZYMANA W KLIMACIE PROZY STEPHENA KINGA

STEFAN

DARDA

DOM NA WYRĘBACH

POWIEŚĆ GROZY

VIDEOGRAF

Poszedłem za nim, wziąłem kluczyki i dokładnie pozamykałem oba samochody. Mimowolnie spojrzałem w kierunku domu sąsiada. Zaskoczenia nie było — światło paliło się nadal. Chwilęostałem przed domem, zastanawiając się, czy Jaszczuk w ogóle kiedyś śpi.

Kiedy wróciłem do kuchni, Hubert siedział przy stole, na którym stały dwie półlitrowe butelki wódki.

— Co, boisz się, że ktoś na tym zadupiu pokradnie nam samochody? — spytał kpiąco.

— Licho nie śpi — odpowiedziałem, siląc się na uśmiech.

21.

Kiedy się obudziłem, nie miałem kaca. Ostrożnie, bardzo powoli podniosłem głowę. Żadnego bólu — najwidoczniej ciągle byłem pijany. Przez cienkie szpary w okiennicach wdzierało się do pokoju dzienne światło. Hubert spał na karimacie, na środku pokoju, lekko pochrapując. Pod bolącymi plecami wymacałem twardey trzonek siekiery. Stwierdziłem, że nawet nie zdjąłem adidasów, nie mówiąc o reszcie ubrania.

Wstałem z łóżka możliwie najciszej i, z trudem próbując utrzymać równowagę, poszedłem do kuchni.

Na stole, wśród resztek jedzenia, stały puste butelki po wódce. Ze zdziwieniem zobaczyłem też dwie opróżnione butelki po piwie. Dwie kolejne były otwarte, ale brakowało w nich najwyżej jednej trzeciej zawartości. Spojrzałem na zegarek. Było wpół do pierwszej.

— Pięknie — powiedziałem.

Poszedłem do łazienki, ulżyłem pęcherzowi i obmyłem twarz chłodną wodą. Póki co, nie zdecydowałem się na prysznic. Potrzebowałem świeżego powietrza, więc wyszedłem na dwór.

Po raz pierwszy od mojego ostatniego przyjazdu nad Wyębami nie świeciło słońce. Na niebie kłębiły się stalowoszare chmury. Delikatne podmuchy gorącego wiatru nie przynosiły ulgi, zdawało się, że jedynie potęgują uczucie duchoty. Postąpiłem chwilę przed domem, starając się przypomnieć sobie wydarzenia minionej nocy.

Śledzie, które przywiózł Hubert, świetnie nadawały się na zakąskę. Wódka, mimo, że ciepła, smakowała całkiem przyzwoicie. Pamiętałem wszystko mniej więcej do połowy drugiej flaszki.

...Jaszczuk... Zdaje się, że rozmawialiśmy o nim... Tak. Pamiętam, że Hubert o niego zapytał... Co mu powiedziałem...? Na pewno mówiłem o tej historii z morderstwem... Czy wspomniałem coś o tym, że wczoraj do niego poszedłem...? Chyba nie... Mam nadzieję, że nie powiedziałem nic o nocnej zjawie i o potłuczonym szkle... Wszystko przez to piwo... Kto, do kurwy nędzy, wymyślił, żebyśmy wódkę mieszały z piwem...?

Hubert miał zawsze mocną głowę. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek urwał mu się film. Tym bardziej obawiałem się tego, co mogłem powiedzieć. Wiele razy zdarzało mi się paplać po alkoholu. Cóż, pozostawało mieć nadzieję, że nie tym razem.

Miałem ochotę zajrzeć pod maskę nissana, żeby sprawdzić, czy wyciek płynu jest poważny, odłożyłem to jednak na potem. Uznałem, że najpierw muszę przygotować jakieś jedzenie. Najlepiej coś tłustego. Miałem konserwy, makaron, żółty ser i sos do spaghetti. Tak, to był dobry pomysł. Zanim wróciłem do kuchni, pootwierałem wszystkie okiennice.

Postawiłem na gazie garnek z posoloną wodą, dodałem do niej dwie łyżki oleju i zabrałem się do przygotowywania sosu. Akurat otwierałem nożem konserwę z wołowiną w sosie własnym, kiedy w drzwiach stanął niejaki Hubert Kosmala. Nie wyglądał najlepiej. Łypnął na mnie przekrwionymi oczyma i bez słowa opuścił moje towarzystwo.

Dźwięki, jakie dobiegły od strony łazienki, nie pozostawiały wątpliwości, w jakim celu się tam udał. W jego przypadku mocna głowa nie szła w parze z mocnym żołądkiem.

* * *

Hubert stanowczo odmówił spożycia czegokolwiek. Podczas, gdy ja ze smakiem pałaszowałem kluski z sosem pomidorowym i mięsem, siedział naprzeciwko i przyglądał mi się tak, jakbym był przybyszem z obcej planety. Jego papierowo blada twarz nie pozostawiała złudzeń. Nie tknęłyby jedzenia, nawet gdybym go trzymał na muszce.

— Aleś, kurwa, wymyślił z tym piwem — odezwał się wreszcie.

Popatrzyłem na niego zdziwiony.

— No co się gapisz? Jak skończyliśmy drugą flaszkę, mówiłem: chodźmy spać, wystarczy. A ty nie i nie. Piwo i piwo...

— A co ty, małe dziecko jesteś? Przecież nie wlewałem ci chyba na siłę, co?

Wzruszył ramionami.

— Miałem się przyglądać?

Siedzieliśmy przez chwilę w milczeniu. Słyszeć było tylko poszczekiwanie sztućców.

— Słuchaj, Marek — odezwał się wreszcie, patrząc w okno. — Z tym twoim Jaszczukiem, to dziwna sprawa.

— Tak? A czemu?

No tak, musiałem jednak coś wygadać.

— Nie wiem, czy pamiętasz... Opowiedziałeś mi w nocy o tym, jak tam do niego poszedłeś... I waszą rozmowę.

— Pewnie, że pamiętam.

Oczywiście, w ogóle tego nie kojarzyłem.

— To chyba nie on.

— Co? — Widelec z nawiniętym makaronem zawisł w połowie drogi do moich ust. — Co nie on?

— No, mnie się wydaje, że to chyba nie on poprzestawiał ci te rzeczy w domu.

Odłożyłem widelec.

— Przecież sam się przyznał. Po co miałby kłamać?

— No, właśnie tego nie rozumiem.

— Dobra — powiedziałem, odsuwając od siebie prawie pusty już talerz. — Co wymyśliłeś?

Hubert zaniósł naczynie do zlewu.

— Sorry, ale nie będzie mi to stało pod nosem — rzekł, znów siadając naprzeciw mnie.

Przez jakiś czas milczał, jakby zastanawiając się, od czego zacząć. Wreszcie odchrząknął i zaczął mówić.

— Z tego, co mówiłeś, Jaszczuk jest normalnym człowiekiem...

— Tego na pewno nie powiedziałem.

— ...a normalni ludzie raczej nie przenikają przez ściany — ciągnął Hubert, nie zważając na moją uwagę. — Jak gotowałeś to świństwo — spojrzał w kierunku zlewu — obszedłem sobie dom dookoła. Nie ma, kurwa, takiej możliwości, żeby ktoś wszedł do środka, jak cię nie było w domu. Widziałem porządne okiennice. Przy zamkach nie ma żadnych zadrapań, świadczących o tym, że ktoś przy nich majstrował...

— Stary... — przerwałem — wtedy miałem tylko jeden zamek. Fakt, nie jest on najłatwiejszy do sforsowania, ale fachowiec zrobiłby to z łatwością.

— Może tak, może nie... Ale to nie jest mój główny argument.

— No to dawaj ten główny, bo zaczynasz przynudzać.

— Chce pan mieć taki bałagan, jak ostatnio po przyjeździe?

— Co?

— Bałagan, jak ostatnio po przyjeździe — powtórzył Hubert. — Tak, zdaje się, powiedział wczoraj Jaszczuk. Jeśli oczywiście te pudła stoją tak, jak je zastałeś, to twój sąsiad w dziwny sposób rozumie pojęcie „bałagan”...

Przez chwilę wpatrywałem się w twarz przyjaciela.

— Nie ruszałem ich prawie w ogóle — odezwałem się wreszcie. — A jeśli z któregoś pudła musiałem coś wyjąć, to potem odstawiałem je na miejsce.

— Być może się mylę — Hubert zaczął nerwowo wiercić się na taborecie — ale myślę, że to nie Jaszczuk był w środku. Policjant pytał go, czy to on ruszał twoje rzeczy, kiedy cię nie było...

— ...więc on uznał, że ktoś porzucił je po domu jak popadnie — dokończyłem.

Hubert kiwnął głową.

— Być może ktoś potrafił otworzyć twój zamek bez śladu. Ale moim zdaniem nie był to Jaszczuk. Nie wiem oczywiście, jaki ma w tym interes i kogo kryje, ale to raczej nie on był twoim nieproszonym gościem.

Siedząc nieruchomo, zastanawiałem się, jak mogło mi to umknąć. Faktycznie, nawet największy pedant nie mógł powiedzieć, że po przyjeździe z Wrocławia zastałem w domu bałagan. Być może nie skojarzyłem tego przez wzburzenie, które towarzyszyło mi podczas wczorajszej rozmowy z Jaszczukiem. Tak czy inaczej, zacząłem się poważnie zastanawiać, czy aby przypadkiem Hubert nie ma racji.

— Ale to się kupy nie trzyma. Po co... — zacząłem bez przekonania.

— Jeśli Jaszczukowi rzeczywiście zależałoby na tym, aby cię stąd przegonić, miał tysiąc możliwości. Nie twierdzę, że na pewno jest tak, jak mówię. Chciałbym jednak, żebyś się nad tym poważnie zastanowił. Być może to nie jego powinieneś się obawiać.

Hubert wstał i wyszedł na zewnątrz. Zostałem przy stole. Niestety, jego wersja była dość przekonująca. Przypomniałem sobie postać w oknie. Wiedziałem już na pewno, że nie wspominałem o niej Hubertowi i wiedziałem też, że tego nie zrobię. Nie chciałem, żeby mój przyjaciel dowiedział się, że poważnie rozważam konszachty Jaszczuka z istotami nie z tego

świata. Jeżeli Hubert chciał mnie uspokoić swoimi przypuszczeniami, to z całą pewnością mu się to nie udało.

22.

Tego dnia nie wracaliśmy już do tematu.

Oprowadziłem Huberta po całym obejściu, szczegółowo przedstawiając swoje plany. Hubert był typowym mieszczuchem, ale udzielił mi kilku całkiem sensownych rad — na przykład poradził, żebym wyciął na wiosnę niektóre drzewa owocowe w sadzie. Nie wiem, skąd to wiedział, ale drzewa, które wskazywał, faktycznie nie rokowały nadziei na przyzwoite owocowanie. Trochę szkoda było mi wycinać cokolwiek, ale w końcu przyznałem mu rację i stwierdziłem, że na wiosnę na pewno w miejscu starych, niemal całkowicie uschłych jabłoni, grusz i śliw, posadzę nowe.

Później zajęliśmy się nissanem. Miałem trochę płynu hamulcowego, napełniłem więc zbiorniczek w samochodzie Huberta. Okazało się, że przewód jest ledwie pęknięty i płyn ubywa bardzo powoli. Byłem pewien, że bez problemów można tym autem dojechać do Lublina. Na wszelki wypadek poinstruowałem Huberta, jak ruszyć, gdyby płyn mimo wszystko wyciekł. Nie sądziłem, że w tak prosty sposób można wzbudzić podziw. Hubert z zacięciem czeladnika wykonywał wszystkie moje polecenia, aż w końcu nauczył się ruszać przy wrzuconej dwójce, z użyciem rozrusznika.

Było niezwykle duszno. Chodziliśmy bez koszulek, w samych tylko krótkich spodenkach, lecz pomimo to wciąż mocno się pociliśmy. Zapewne nie bez wpływu na ten fakt pozostawały nasze nocne alkoholowe wyczyny. Z ulgą powitaliśmy nadchodzący wieczór.

Z butelkami piwa w dłoniach, rozmawiając o wszystkim i o niczym, wpatrywaliśmy się w zachodnie niebo. Począt-

kowo rozświeślało się co chwila widocznymi gdzieś poza horyzontem wyładowaniami atmosferycznymi. Nie było sły-
chać odgłosów burzy; panowała niczym niezmacona cisza. W miarę, jak zapadał zmierzch, błyski stawały się o wiele
bardziej wyraźne, zaczęły też dobiegać do nas dalekie po-
mruki grzmotów. Kiedy było już całkiem ciemno, dotarł
do nas gorący wiatr wiejący od wschodu. Nadciągająca bu-
rza zasysała do swego wnętrza masy spotkanego na swo-
jej drodze powietrza. Grzmoty stawały się coraz głośniej-
sze. Wreszcie poczuliśmy pierwsze, ciężkie krople tak długo
oczekiwanego deszczu. Rozkoszując się ulewą, posiedzieli-
śmy jeszcze przez chwilę na dworze. W końcu pioruny za-
częły bić na tyle blisko, że postanowiliśmy nie kusić losu
i wróciliśmy do domu.

Wykręciłem korki w obawie o instalację elektryczną. Sie-
dzieliśmy przy świecach, wsłuchując się w kojący dźwięk dud-
niącego o dach deszczu, zagłuszany co jakiś czas wystrzala-
mi piorunów. Po jakimś czasie nie mieliśmy wątpliwości, że
znaleźliśmy się w samym epicentrum burzy. Błyski rozświe-
tlały krajobraz za oknami i niemal w tym samym momencie
dobiał do nas skwierczący trzask wyładowania. Co chwi-
la domem wstrząsał potężny grzmot, który po sekundzie
odbijał się zwiokrotnionym echem w okolicznych lasach.
Budynek nie miał piorunochronu, więc bałem się, aby któ-
raś z błyskawic, uderzając w niego, nie spowodowała pożar-
ru. Wreszcie, mniej więcej po godzinie, nawałnica zaczęła
się oddalać, zostawiając po sobie delikatny szmer deszczu
i świeże, ożywcze powietrze, docierające do wnętrza domu
nawet przez zamknięte okna.

Kiedy kładliśmy się do snu, pomyślałem o Jaszczuku.
Przez cały dzień sąsiednie gospodarstwo zdawało się być
całkowicie wymarłe; nie zauważyłem nawet najmniejsze-
go znaku życia. Zgasilem światło i popatrzyłem w okno.
Jak każdej nocy, szyby Jaszczukowego domostwa rozświe-
tlał słaby blask.

* * *

Następnego dnia poprosiłem Huberta, żeby pojechał ze
mną do Kostrzewa. Chciałem znaleźć jakąś ekipę, która pod-
jęłaby się wyremontowania dachu, planowałem też wybu-
dowanie w największym pokoju kominka; liczyłem, że uda
mi się dowiedzieć, kto podejmie się również i tego przed-
sięwzięcia. Przed wyjazdem miałem małą scysję z Huber-
tem, który stanowczo twierdził, że nie powinienem remon-
tować starego dachu, tylko położyć nowy. Miał trochę racji
twierdząc, że naprawa niewiele zmieni i na wiosnę zapewne
znów będę musiał szukać ekipy do naprawy kolejnych frag-
mentów dachu. Poza tym byłem usilnie przekonywany, że
eternit jest szkodliwy dla zdrowia i „chujowo” — jak usły-
szałem — wygląda na drewnianym domu. Musiałem się gę-
sto tłumaczyć, a Huberta wreszcie uspokoiły moje zapew-
nienia, że wymiany całego dachu dokonam wiosną. I tak
miałem sporo zachodu z przeprowadzką. Poza tym, takie
poważne prace zawsze lepiej jest rozpoczynać w maju niż
w sierpniu; przecież końcówka lata często bywała kapry-
śna. Przekomarzaliśmy się dłuższą chwilę, wreszcie kie-
dy obiecałem uroczyście, że wiosną mój dach będzie przy-
kryty dachówką albo gontem, Hubert zgodził się wsiąść ze
mną do samochodu.

Była sobota. Zatopieni w sennej, małomiasteczkowej at-
mosferze tubylcy kręcili się między sklepami, robiąc zakupy.
Gdzieniedzie skupiali się w małe grupki i plotkowali o wy-
darzeniach kończącego się tygodnia. Dwóch facetów przy-
byłych terenowym samochodem stanowiło świeżą pożyw-
kę do kolejnych dywagacji.

Zaparkowałem auto przy głównej drodze. Upatrzyliśmy
sobie grupkę mężczyzn, stojącą z piwem pod sklepem mo-
nopolowym. Wysiedliśmy i ruszyliśmy w ich kierunku. Roz-
mowy urwały się w połowie zdania. Pięciu mężczyzn przy-
patrywało się nam bez słowa.

— Dzień dobry, panowie — odezwałem się.

Odmruknęli niepewnie, zaskoczeni, że nie mijamy ich w milczeniu. Zapewne sądzili, że naszym celem jest sklep, który mieli za plecami.

Przywitaliśmy się uściśnięciem rąk. Trudno było mówić do wszystkich naraz, wybrałem więc tęgiego mężczyznę o rumianej twarzy, stojącego pośrodku grupki.

— Poszukujemy kogoś, kto podjąłby się remontu dachu. Nie wiecie panowie, kto w Kostrzewie zajmuje się takimi rzeczami?

— Skąd jesteście? — zapytał gruby.

— Z Wyrębów — odrzekłem. — W zasadzie, to ja jestem z Wyrębów, a to — wskazałem na Huberta — mój kolega z Lublina.

— Aha, a my żeśmy myśleli, że mieszkacie we dwóch w jednej chałupie.

Grupka zgodnie zarechotała. Uśmiechnąłem się i ja.

— Widzisz pan tego gościa? — mój rozmówca grubym paluchem wskazał na dwóch mężczyzn stojących po drugiej stronie ulicy.

— Widzę dwóch — odparłem.

— Pogadaj pan z tym mniejszym, ze Skubiszem. Robi dachy w całej gminie, może coś z tego będzie.

Podziękowałem i ponownie uściśnąłem wszystkim ręce, Hubert zrobił to samo. Powiedzieliśmy „do widzenia” i ruszyliśmy w kierunku dwóch wskazanych ludzi. Za plecami znów rozległ się gwar rozmowy.

Przepuściliśmy snującą się wolno furmankę i przeszliśmy na drugą stronę jezdni. Mężczyźni stali, paląc papierosy. Znów to samo: „Dzień dobry”, uściśnięcie dłoni. Tym razem, na samym początku rozmowy, zazaczyłem, że chodzi o mój dom, a Hubert mi tylko towarzyszy. Zwróciłem się do niższego, może sześćdziesięcioletniego, śniadego człowieka.

— Pan Skubisz, prawda?

— A o co chodzi?

— Tamci panowie — wskazałem kciukiem za plecy — powiedzieli, że remontuje pan dachy.

— No, Zdzichu, będę leciał — odezwał się wyższy, rzucając niedopałek na ziemię i przydeptując go zabłoconym gumofilcem. — Masz klientów, to nie będę przeszkadzał. Zresztą, moja stara na mnie czeka przy samochodzie.

— Na razie — powiedział „Zdzichu”, ściskając rękę wyższemu, który nie pofatygował się, żeby pożegnać również nas. Kiedy ten drugi zamasytym krokiem oddalał się w kierunku „swojej starej”, Skubisz zapytał:

— Gdzie ma być ta robota?

— W Wyrębach.

— U Durkacza czy u Jaszczuka?

— U Durkacza. Widzę, że dobrze orientuje się pan w okolicy.

— Jaszczukowi bym nie robił — nie zwrócił uwagi na mój komplement. — Co pan tam chce robić? Coś nie tak z dachem?

— Tak — odparłem. — Niektóre fragmenty są uszkodzone, gdzieś tam przecieka.

— Aha — Skubisz zdjął czarny beret z antenką i podrapał się w gęstą, siwą czuprynę. — Dobra, pomyślmy.

— Tylko wie pan, zależy mi na czasie. Właśnie wybieram się do Lublina i chciałbym zamówić eternit i co tam jeszcze potrzeba. Dałby pan radę dziś obejrzeć ten dach?

— Ja bym dał. Ale nie robię sam, tylko z synem i nie wiem, czy on nie ma dzisiaj jakiej roboty.

— A gdzie można syna znaleźć?

— Może jest w domu. Musielibyśmy podjechać ze dwa kilometry.

Chwilę później siedzieliśmy we trzech w samochodzie i zmierzaliśmy do domu Skubisza. Po drodze spytałem o kogoś, kto mógłby wymurować u mnie kominek. Miałem szczęście, bo okazało się, że młody Skubisz stawia piece kaflowe.

Kiedy zajechaliśmy na podwórze, Hubert, który siedział z tyłu powiedział, że poczeka w aucie. Poszliśmy więc do domu we dwóch. W kuchni zastaliśmy żonę Skubisza i młodego mężczyznę. Okazało się, że to jest właśnie „Józek”, jak o nim mówił stary Skubisz. Józek miał może trzydzieści lat i był niemal idealną kopią ojca, tyle że o głowę wyższą. Tak samo śniady, tak samo szczupły. Podobnie jak stary, miał gęste włosy, tyle że jego nie zdążyły jeszcze posiwieć i zadziwiały głęboką, atramentowoczną barwą. Nie mogłem oprzeć się wrażeniu, że w żyłach Skubiszów płynie sporo cygańskiej krwi.

Józek w tę sobotę nie miał żadnej pilnej roboty, więc ustaliliśmy, że zaraz przyjadą do Wyrębów swoim dużym fiatem.

Postanowiliśmy z Hubertem zrobić po drodze małe zakupy. Zabrało nam to nie więcej niż dwadzieścia minut. Mimo to, kiedy dojechaliśmy do Wyrębów, czerwony fiat Skubiszów już stał przed domem, a oni kręcili się po dachu, dokonując pierwszych pomiarów.

23.

Pogoda sprzyjała pracom na zewnątrz. Po burzy powietrze stało się chłodniejsze i bardziej rześkie. Podziwiałem kunszt moich majstrów, którzy w godzinę wiedzieli, co dokładnie mam kupić w mieście. Dostałem zmiętą kartkę z zamówieniem: ilość eternitu potrzebnego do remontu dachu i liczba cegieł, potrzebnych do wyremontowania komina — choć o tych pracach wcześniej nic nie wspominałem.

— Za jednym zamachem zrobimy też komin — powiedział Skubisz. — Stary się sypie.

Dobrze o tym wiedziałem.

— Niech pan kupi tylko to, co jest na kartce — ciągnął. — Resztę my przywieziemy. — Józek! — zawołał do syna,

montującego składaną drabinę na dachu fiata. — Chodź zobaczyć, co z tym kominkiem.

Józek dokładnie obejrzał wnętrze domu. Uznał, że nie będzie problemów z wymurowaniem w największym pokoju kominka, który sobie wymarzyłem. Przewód kominowy od kafłowej kuchni przebiegał dokładnie we właściwym miejscu. Powiedziałem, jak sobie wyobrażam mój komin i po kilkunastu minutach otrzymałem drugi karteluszek z wypisaną liczbą potrzebnych cegieł. Skubiszowie okazali się nie lada specami w swoim fachu.

Uzgodniliśmy cenę za planowane roboty, co nie było trudne. Podając wartość robót, stary Skubisz — widać to było po jego rozbieganych oczach — spodziewał się nielicznych targów. Ja z radością zgodziłem się na zaproponowaną kwotę. Osiemset złotych zdawało mi się śmieszną sumą.

Gdy uzgodniliśmy cenę, zaprosiłem swoich majstrów do stołu. W kuchni wypiliśmy po piwie i zjedliśmy mały posiłek, ustalając w międzyczasie, że robota zacznie się we czwartek o świcie. Po wymianie uprzejmości Skubiszowie pożegnali się i już ich nie było.

* * *

Hubert zaproponował, żebyśmy wieczorem rozpalili ognisko. Z chęcią przystałem na jego propozycję, dziwiąc się, że sam nie wpadłem na ten pomysł. Zanim zapadł zmrok, wykonaliśmy trzy kursy do lasu po drewno. Nanieśliśmy sporą stertę, która — jak mi się zdawało — wystarczyłaby na co najmniej dwa całonocne posiedzenia.

Podczas gdy ja rąbałem co grubsze gałęzie, Hubert przygotował kiełbasę, chleb, piwo i musztardę — biwakowy posiłek charakterystyczny dla czasów studenckich. Okoliczności, w jakich się znajdowaliśmy, przywoływały na myśl dawne czasy. Wiele razy zdarzało się nam w czasie studiów wyjeżdżać za miasto. Różnica polegała na tym, że w Wyrębach zamiast ciężkich, ruskich namiotów mieliśmy dach